

## Ławeczka Józefa Barana (11)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu  
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

Kiedy wspominałem o pogrzebie Artura w 1988 roku i o stypie, sformułowała zaskakującą myśl: „Ja też umarłam, tylko nie jestem jeszcze pogrzebana”. Po dawnemu się śmiała, po dawnemu wyglądała, po dawnemu słuchała. Tylko trochę bardziej przygarbiona, zdrobniała, przysiwiała... Miałem wrażenie, że za chwilę wstanie, roześmieje się i powie: „Ja tylko tak żartuję, oczywiście, że Cię pamiętam i pamiętam Twoją książkę Śnił mi się Artur Sandauer... A jednak nie wstała, nie powiedziała tak, a o książce nie pamiętała. Zachowywała się jak małe inteligentne dziecko, które sonduje reakcje dorosłych i odpowiednio się do nich ustawia. Przy pożegnaniu wiedziałem, że jest to nasze ostatnie spotkanie... Że jest teraz kimś w rodzaju dziecka, po jakimś czasie przemieni się w oseska i powróci do łona matki-ziemi. Może to nawet błogosławiony stan taki zanik pamięci, takie powolne oswojenie się z nieistnieniem... Za chwilę ludzie znikną i świat zniknie jak wywabiona plama... A przecież napisała mi w ostatnim liście, że wszystko, co było – jest i wciąż trwa...”

### Zapiski szwedzkie

Lot do Sztokholmu potem przejazd z lotniska Skavsta do Sztokholmu gdzie czekała pani Ewa Bielska ze Stowarzyszenia Polek, która zawiozła mnie na Handelsvägen 172 (Hotorget). Kolacja u Marii Zięciak (schorowana) w Domu Seniora. Pokoik z widokiem na jarzębinę i lasek. W Sztokholmie lasy i gwiazdy wchodzą do okien: dębowe, lipowe, brzoźowe. Fantastyczna sprawa. Dobry, stonkowo długi jak na mnie sen. Poczytywanie Dziennika 1954, który pozytywnie mnie rozczarował. Nie myślałem, że Tyrmand to taki talent pierwszej wody. I jaka kultura, jaka ostrość widzenia i nazywania! Oczywiście

może irytować jego snobizm, jego przywiązywanie nadmiernej uwagi do strojenia się, puszienia przed lustrem i imponowania bikiniarstwem. Jest mi to jako półfabnegatowi-hipsterowi zupełnie obce, choć odczuwam też nutkę zazdrości, bo jego gust znamionuje wyższą „próżniaczą” klasę, co wynosi się z domu, gdzie obowiązywała inna niż w moim chłopskim, kindersztuba, ufundowana właśnie na bezliku wolnego czasu... Czyta się Tyrmanda z wielką przyjemnością. Na zdjęciu – jego twarz „na serio”, choć myślałem, że niepoważny, ale dotąd mało bardzo znałem Tyrmanda... Poza tym przy czytaniu znajduje człowieka zdziwienie, jak dużo można powiedzieć o sobie, o świecie, o stalinizmie, zapisując tylko trzy miesiące z własnego życia. Jak się to ma do Szwecji. Oczywiście nijak. W autobusie i samolocie trzeba się jednak czymś wypełniać i dokarmiać. Nie tylko bułkami z szynką. Wyprowadzenie do Sztokholmu jest moją małą podróżą sentymentalną. Ile razy ja tu już tu czasu spędziłem!? Gdyby zsumować, to uzbięrałyby się pewnie rok. Cieszę się, że dostałem od pań kartę tygodniową na dowolne przejazdy, mogę fruwać po mieście i od-pominać nazwy przystanków, dzielnic, ulic, w ogóle Sztokholm.

### 13 października

Od rana próbujemy z panią Marią odnaleźć adresy znajomych i przyjaciół. Nie jest to łatwe, bo jednak nie zabrałem z domu starego zeszytu z numerami telefonów, ale w końcu – za pośrednictwem jej komputera – udaje mi się dodzwonić do Janusza Sławomirskiego. Były hippis (z ksywą „Dziki”), obieżyświat, lubi wszystko, co oryginalne, etniczne, ma mieszkanie zawalone kapliczkami i rzeźbami z Indii, Afryki, Kuby. Sam piecze chleb, zna nazwy ziół (przypraw z ziół), wszelkich kwiatów, chwastów po łacinie, polsku i szwedzku. Wegetarianin. Obecnie zatwardziały antypisowicz (gdy próbuję spojrzeć na sytuację polityczną obiektywnie, zacietrzewia się, tak że dalem spokój). Nie wiem, co bardziej mi zaszkodziło – marchewka z czosnkiem czy spory na temat sytuacji polskiej i religii, dość na tym, że na drugi dzień odczuwałem problemy z trzustką, a może z wątrobą, cholera wie, a może to były moje „faleśne” jelitka?

Janusz przywiózł mnie do Nacka i odwiózł autem. Bardzo go lubię, zauważam, że lekko wychudł, lwia grzywa, lekko przerzedzona łysiną, ostała się z biedą na pełnej wigoru i pomysłów głowie, pokasłuje (odma?), ale stara się trzymać formę. Jeżeli u Janusza widać wiek, to cóż dopiero u innych z mojej generacji. Sławomirscy mieszkali przez pięć miesięcy w Indiach. On nawiózł tysiące slajdów, oglądaliśmy je na dużym ekranie. Niesamowite, w jakich głębokich hinduskich „praczasach” żyją niektórzy Hindusi z kasty nietykalnych, kultuwujący zwyczajnie przebiegania się w najdziwniejsze, kolorowe szaty, ubiory, zwierzęce skóry, jakby nic nie zmieniło się w świecie i w Indiach, jakby świat stał w miejscu. I ta nieprzekraczalność kastowych barier...

– Janusz – mówię mu – narzekasz na średniowiecze w Polsce, winą obarczasz katolicyzm, który więzi naszą mentalność, ale czy zdajesz sobie jednak sprawę, że gdyby zamerykanizować i ucywilizować prowincje Indii, Meksyku, Kuby, et cetera, to nie miałbyś, po co tam latać? Nie miałbyś tylu kaset i płyt z muzyką etniczną, slajdów, rzeźb, obserwacji. Czy to dobrze, gdyby wszystko wszędzie było takie same?

Tak sobie rozmawialiśmy, czasem przekrzykując się, ale na szczęście lubimy się i Janusz bardzo ceni moją poezję (napisał nawet kiedyś wstęp do mojego Wyboru wierszy), tak że w końcu doszliśmy do konsensusu. Zgodził się ze mną, że wszelka polityka jest brudna, a liryka ma szansę pozostać czysta. No i że ateści są głupcami, podobnie jak fanatycy religijni. Wiadomo, że nic nie wiadomo. Możliwe jest wszystko, co niemożliwe i co nie mieści się nam w ludzkich ograniczonych głowach, a więc także Bóg, obojętnie jakby się nazywał, ale wiemy o nim tyle co nic, zaledwie możemy się po omacku zbliżyć do Wielkiej Tajemnicy, z której wyprane są mózgi współczesnych materialistów, dla których wszystko to, co spirytualne, wydaje się podejrzane.

### 16 października

Przejazd z panią Ewą piętrowym autobusem wokół Sztokholmu. Zimno w nogi. Słońce, jachty w zatoczkach, promenady, wietrzyk.

Jednak to już końcówka września. Potem lunch w ogrodach królewskich (cielęcina, smaczna) i pani Ewa podwozi mnie do aktora Tomasza Neumanna, który ma dziś ze mną czytać w konsulacie listy Mrożka i moje z książki Scenopis od wieczności oraz wiersze na okrasę. Na saksofonie porykuje wdzięcznie Zbyszek Bizoń. Tomasz (przeszliśmy dość szybko na „ty”) ma własny teatr i własną Julię, którą się już po godzinie nie omieszkał pochwalić (że tak go kocha, aż z miłości nauczyła się polskiego i tłumaczy teraz sztukę Zapolskiej Moralność pani Dulskiej oraz – ! – Mątwę Witkacego). Tomasz ma pięćdziesiąt parę lat, Julia ze dwadzieścia pięć, ale Tomasz jest aktorem, więc może bez problemu odgrywać młodzieńca. Sonduje mnie, ale chyba przekonują go do swojej naturalności, bo i on naturalnie. Robimy próbę, czyta dobrze, prawie naśladowując tembr głosu Mrożka, pomaga mu w tym, o dziwo, nalot szwedzkiego akcentu. Po godzinie zjawia się Julia, dobrze zbudowana, młoda – czegoż chcieć więcej?

Gratuluję mu dziewczyny, witam się z paroma młodymi aktorami, którzy przygotowują się do grania Szekspira, jedziemy do konsulatu, gdzie czeka już gromadka (nawet duża, około stu osób). W przednim rzędzie pani Janka Ludawska, dziewięćdziesięciodwuletnia staruszcza zawsze pięknie uśmiechnięta... Jej syn zmarł na AIDS, a ona przez siedemnaście lat pracowała z chorymi. Pisałem kiedyś o niej artykuł i zadedykowałem jej wiersz pt. Matka. Myślałem, że już nie żyje, a tu, proszę, jaka miła niespodzianka.

cdn.